

„ŚLUBY” W KOSZALINIE, CZYLI O ENTUZJAZMIE

Nie wiem, co przeważało w zainteresowaniu tą imprezą — sam fakt powstania teatru w Koszalinie, mieście straszliwie przez wojnę zniszczonym, z trudem powracającym do życia, czy też wybuch entuzjazu twórczego u kierownika tego teatru — Ireny Górskiej, która rzuciła na rok Warszawy, aby budować nową placówkę na białej dotychczas plamie naszej mapy kulturalnej. Przyznacie — jedno i drugie niecodzienne i co najmniej interesujące, choćby jako zjawisko socjologiczne. Warte chyba odrobiny niewygody, jaką jest podróż do Koszalina w zimny luty 1954.

Refleksja: właściwie trudno w naszych warunkach przypisywać niezwykłość takim wydarzeniom. Tego rodzaju niezwykłości spowszedniały. Wypływają one niejako z naszej rewolucji. Wartości nurt życia kraju budującego socjalizm sprawia, że — jako rzecz sama przez się zrozumiała — powstaje teatr w mieście, gdzie go nigdy przedtem — pomimo wysokiej stopy życiowej zamieszkałych tam rentierów — nie było. A romantyzm naszych czasów porwuje dobrą aktorkę warszawskiego Teatru Współczesnego, każe jej rzucić spokojne życie, mieszkanie i rodzinę, by włożyć się z miasta do miasta w trudnych naprawę warunkach, aby troskliwie doglądać każdego spektaklu *Ślubów*.

Tak. A jednak... jest coś niecodziennego i niezwykłego w sekwencji tych prostych zdawałoby się spraw.

Zainteresowanie Koszalinem i tą ziemią wzmógł we mnie jeszcze jeden powód — nazwijmy go historycznym. Kiedy się dowiedziałem o powstaniu „Bałtyckiego Teatru Dramatycznego” sięgnąłem do jedynej posiadanej dawniej monografii o „Hinterpommern”; interesowało mnie, co też tam było przed nami, przed Polską Ludową. Grube tomisko (przeszło 500 stron druku, mnóstwo wykazów i zestawień), wydane jeszcze za republiki weimarskiej w 1929 r. przez prezydenta rejencji niejakiego Kurta Cronau, zawiera drobiazgowo, opracowane z niemiecką pedanterią dane o każdym z powiatów i miast „Regierungsbezirk Kösslin”, czyli naszego dzisiejszego województwa koszalińskiego. Dowiadujemy się stąd, że... już w XIII wieku Cussalin (też chyba bliższy raczej naszemu Koszalinowi, niż niemieckiemu Kösslin) był żywym portowym ośrodkiem handlowym, związanym z Hanzą. W XVI w. traci swoje znaczenie handlowe i zamienia się w rezydencję biskupów reformowanych, aby — nie tracąc już swego charakteru — po licznych wojnach i pożogach stać się w końcu XIX wieku „bevorzugte Rentnerstadt”, miastem rentierów i emerytów. Jedyną placówką kulturalną w mieście jest wtedy czytelnia ludowa, licząca 10.000 książek. Ale za to powiat koszaliński daje... wiele tysięcy kwintali zboża, ziemniaków, buraków i ryb.

Wiadomości z dziedziny gospodarczej, obszerne dane o bogactwie tej ziemi przesłaniają szcu-

ple wiadomości z dziedziny kultury. Wymienia się tylko ilość szkół podstawowych i liceów, których jest zawstydzająco mało. O folklorze — kilka słów, bo... trudno na tym terenie budować tezę o niemieckim pochodzeniu owych ziem. Ze wszystkich kart książki wзира strach przed zbliżeniem granicy polskiej, przed „nieuzasadnionymi roszczeniami uczonych polskich i polskiej propagandy”. — Cóż — sprawa jest prosta. Kraj ładny, daje sporo chleba, ryb i wiele jeszcze innych wartościowych rzeczy. Majątki wielkie, dobrze za-

cina czy Olsztyna „Pommersche Landesbuehne”, czy „Ostdeutscher Landestheater”. Rewolucja przekreśliła na zawsze formułę „rezerwatu kolonialnego”, niszcząc siły faszystowskiego. Teatr wypełnił białą plamę na mapie kulturalnej Polski Ludowej.

Ten zimowy wypad do Koszalina, miasta, które się zna raczej z przejazdów do Kołobrzega, czy Ustronia Morskiego, aniżeli ze zwiedzania długich jego ulic —



BAŁTYCKI TEATR DRAMATYCZNY W KOSZALINIE: „ŚLUBY PANIENSKIE” Aleksandra Fredry. Włodzimierz Saar (Albin), Zuzanna Helska (Klara), Elżbieta Skalska (Paula Dobrońska), Wanda Wardyńska (Aniela), Olgierd Hanusz (Gucio). Reżyseria: Irena Górską, scenografia: Feliks Krassowski

gospodarowane, siła robocza niedroga. A sens polityczny jego istnienia w ramach Rzeszy mieści się w formule „Pommern ist das Land der inneren Kolonisation”. Rezerwat kolonialny. Nie ma czym się chwalić. Zwłaszcza, że każda wieś i miasteczko przypominają „obcy”, polski rodowód tych ziem. Na chybił trafił cytuję: Polschen-Lonken, Tychow, Rosnow, Jarchow, Zernin, Stojentin, czy nader germańskie brzmiące Gross-pobloth, które... na milę z daleka zalatują naszymi rodzimymi błotami, czy pobłociem.

Ten strach przed naporem polskości — zwłaszcza wobec zbliżenia granicy państwowej po r. 1919 do granic rejencji — był uzasadniony; dzięki ludowi, którego przedstawiciele tu urodzeni, tu z dziada pradziada zamieszkali, są dziś delegatami na II Zjazd Partii i których germańskie pochodzenie wskazują takie niezmiennione nazwiska, jak choćby Władysław Węsierski z Bytowa.

Tak, jest coś radosnego i budującego w fakcie, że teatr powstał tam właśnie, na gruzach eksploatatorskich sił kapitalizmu i junkierstwa pruskiego, gdzie żadnego dotąd teatru nie było. Bo jedyny gmach teatralny w rejencji — w Słupsku — zbudowany został w 1927 r., jako przystań dla odwiedzających te okolice trup objazdowych ze Szczec-

był nieprzerwanym pasmem niespodzianek. Spodziewałem się — wiedząc coś niecoś o Koszalinie — że miasto żyje tam swoją największą sensacją, że każdy napotkany wskaże mi z dumą, gdzie się teatr mieści. I tu pierwsza niespodzianka — teatru w Koszalinie w ogóle nie ma. To znaczy brak gmachu teatralnego — własnej siedziby dla teatru. Wskazują mi Wojewódzki Dom Kultury. Tu teatr grywa. Ale gdzie się teatr mieści, gdzie odbywają się próby? Tego mi przechodnie powiedzieć nie mogą. Nie wiedzą.

To nie obojętność. O, nie! Ludzie tutejsi, jak się później dowiedziałem, są bardzo dumni ze swego teatru. Ale teatr spadł na nich zupełnie niespodziewanie. Teatr koszaliński jest właściwie podarunkiem sprawionym społeczeństwu przez tamtejszy organ partii — „Głos Koszaliński”. „Głos” lepiej wyczuł potrzeby terenu niż same władze i w sierpniu ub. roku zaczął kampanię o powołanie teatru w Koszalinie. I — o dziwo! — spotkał się z niechętną obojętnością władz. Władze miejscowe perswadowały kolegom z „Głosu”, że teatr może powstać w Koszalinie dopiero... w 1972 r., że na ten rok jest zaplanowany nowy gmach teatru, że teraz nie ma kredytów, że nie ma kto...

Kampania „Głosu” wywołała niezwykle ożywienie Wojewódzkiego Domu Kultury. Przewodniczący ORZZ, jak ostrągą śpięty, zaczął ściągając do Koszalina zespoły świetlicowe z innych dzielnic kraju, zabiegać o różne imprezy, chcąc w ten sposób wypełnić postulat zamówienia społecznego, zgłoszonego przez młodych towarzyszy z „Głosu Koszalińskiego”. Byli jakiegoś *Damy i Huzary*, byli Ostrowskiego *Grzesznicy bez winy* z królem miejscowych „kombinatorów” w roli Szmagi. Cuda mi o tym opowiadano.

Uporem, pasją zainteresowano sprawą Ministerstwo Kultury i Sztuki i Centralny Zarząd Teatrów, gdzie sprawa ta znalazła żywe poparcie. Dziś „Bałtycki Teatr Dramatyczny” jest jeszcze zjawą, która dematerializuje się natychmiast po przedstawieniu. Istnieje tylko biuro administracji w dwu pokojach, używanych przez „Ligę Kobiet”. Zespół, dekoracje, rekwizyty — to wszystko wędruje z wagonu kolejowego i ciężarowego samochodu do jakiejś sali widowiskowej, gdzie odbywa się dane przedstawienie, aby nazajutrz rano zwinąć manatki i znów się znaleźć w wagonie i samochodzie. Próby — w Wojewódzkim Domu Kultury, w teatrze w Słupsku, w Domu Zdrojowym w Połczynie — gdzie los rzuci, gdzie się da, gdzie bliżej.

Ale za to spektakl — i tu nowa niespodzianka — jest realnym fredrowskim przedstawieniem. Moment materializacji teatru udało mi się przyłapać jakiegoś wieczoru w Sławnie (miasteczko powiatowe, kilka stacji przed Koszalinem od strony Gdańska). Duża sala Powiatowego Domu Kultury zapełniona w 130 czy 150 procentach. Ponad 600 widzów. Mnóstwo ludzi stoi. Podnosi się kurtyna i widzimy wewnątrz prawdziwego dworu polskiego. Zaprojektował je z dużym smakiem i kulturą Feliks Krassowski. Znowu niespodzianka. Po wędrowce po Koszalinie, raczej nieprzyjemnej — po rozmowie z kolegami z „Głosu” — widok sceny nastroja przyjemnie. Wzbiera ton optymistyczny.

Objasniają mnie, że te dekoracje strasznie drogo kosztują, że trzeba je było wykonać w Gdańsku, w tamtejszym teatrze. Ale tę rozrzućność trzeba zapisać na dobro teatrowi. Ważne jest, aby świeży widz koszalińskiego teatru, człowiek, który po raz pierwszy w życiu ogląda przedstawienie teatralne, miał możliwość podziwiać prawdziwy teatr, prawdziwe wnętrza, prawdziwy kostium i prawdziwego Fredre.

Ciągle niespodzianki spotykały mnie w czasie tego wyjazdu. Teraz mogę się przyznać, że jechałem perswadując sobie, iż wystarczy przecież sam fakt powstania teatru w Koszalinie; o Górskiej myślałem trochę ze współczuciem — co też ona może tam zrobić? z kim?! — A tu naprawdę Fredro. Mało! — Fredro wesoły, kipiący werwą i osnutą poezją.

Kiedy siedziałem na widowni i zastanawiałem się nad przedstawieniem i nad robotą reżyserską

Ireny Górskiej, przyszło mi na myśl takie porównanie: warszawianka, która wchodzi do różnych magazynów i z wyprzedzący resztek i braków kompletuje sobie sukienkę. Tu weźmie jakąś szmatkę, tam resztkę, kawalek perkalu, skrawek sztucznego jedwabiu i z tego wszystkiego powstaje strój, którego jej zazdroścą największe modnisie. Takie wrażenie sprawiło na mnie koszalińskie przedstawienie *Ślubów*.

Nie będę analizował gatunku poszczególnych materii, z których to przedstawienie jest zmontowane. Są tam ptaki z polamanymi skrzydełkami, kacuszki, które wysiedziały kurka, amatorzy, którzy dopiero co zdali egzamin i po raz pierwszy stają na scenie, młodzieńcy, którym za ciasno było w szkole i po roku ją opuścili, starsi, co to już przewędrowali wiele scen polskich. Te *Śluby* są wielką premierą nie tylko dla znakomitej większości widzów, ale i premierą dla większości aktorów. Nieraz premierą w ogóle, często premierą Fredry. Ale tego się nie czuje. Czuje się natomiast wielką radość i dumę z grania Fredry. I to jest w przedstawieniu miłe, przyjemne.

Trudno wymagać, aby dziewczyna, która stawia pierwsze kroki na scenie, podźwignęła rolę Anieli, jedną chyba z najtrudniejszych w polskim teatrze. Trudno również młodemu chłopcu, grającemu Albina, znaleźć złoty środek między wzdychającym kochankiem a krzepkim ziemianinem. Ale aktorzy koszalińscy nadrabiają to sercem, wyrównują to szczerze uczuciem i zapałem. Na scenie panuje święty ogień, za sceną czujna i troskliwa myśl, a na widowni wesołość i wzruszenie, że to prawdziwy teatr i powoli przenikające uczucie dumy, że własny teatr, teatr który będzie stale przyjeżdżał.

Miejmy nadzieję, że w niedalekiej już przyszłości cały zespół aktorski posiadać pełne kwalifikacje.

Cechą przedstawienia koszalińskiego jest to, że jest równe. Pani Dobrójska (Elżbieta Skalska) mówi ładnie wiersz, ale i Aniela (Wanda Wardyńska) i Klara (Zuzanna Helska) nie odstają. A ruszają się z wdziękiem i werwą. Gucio (Olgiert Hanusz) ma

jeszcze trochę skrepowane ruchy, ale jest bardzo fredrowski, żywy, wesoły, zabawny, choć utrzymany w stylu komediowym. Albinowi (Włodzimierz Saar) wierzymy, że jest cielecco zakochanym młodym hreczkosiejem. A i Radosz (Henryk Kleps) wtapia się w rytm całości. Młody Jan (Hilary Kluczkowski) włącza się w zabawę swego pana, jak rówieśnik i powiernik, choć z pewnym należnym dystansem.

Patrząc na aktorów koszalińskich, zwłaszcza na młodzież, ma się wrażenie, że to prawdziwa zabawa w prawdziwym dworze, gdzie młodzieńcy mają trochę skrepowane ruchy, a panienki, rezolutne wprawdzie, ale mówią sciszonymi niejako głosami. Ale zabawa jest ujęta w rytm, przyjemny rytm wiersza fredrowskiego. I — mimo swobody — czuje się zdyscyplinowanie aktorów, zespół bawi się i wygrywa komedię nie wpadając w szarżę farsową.

Zresztą — uchylam się od trudnego sądu. Nie można przecież od pierwszego przedstawienia *Ślubów* w Koszalinie wymagać koncertu gry. Przedstawienie jest wesołe i miłe. Miara jego oddziaływania, miara rzetelności przedstawienia niech będzie fakt, że surowy widz w małym miasteczku pomorskim przerywał spontanicznie spektakl gromkimi oklaskami. I to nieraz. A zawsze wtedy, kiedy tekst upoważniał. Kto zna tzw. prowincjonalną publiczność i jej skrepowanie, zrozumie to i właściwie oceni. To chyba duży dowód uznania dla zespołu i przedstawienia.

Przedstawienie koszalińskie poprzedza długa, chyba 10-minutowa, nudna prelekcja, pełna uroczystego i napuszonego pustostawia, z rzędu tych, co to były na linii i włączyły się na bazie walki... Prelekcja nic nie wyjaśnia, a wywołuje u widzów przerażenie, że to humbug, nie teatr a schematyczna akademia, gdzie wszystko z góry wiadomo. Jedna tylko sprawa wykraczała poza schemat i tego żaden z widzów nie przewidział. Zresztą nikt nie mógł się spodziewać niczego podobnego. Oto teatr usprawiedliwił się przed publicznością, bo chyba nie przed anonimową opinią publiczną, że zaczyna swoją działalność od ... Fredry.

Co jednak znaczy prowincja! (Używam tego określenia w najbardziej obelżywym znaczeniu). W 1954 r. przepraszać za Fredrę!

Jak się dowiedziałem, znakomity ten elaborat został sprawdzony aż z Olsztyna. Można by przypuszczać, że na prestrzeni między Koszalinem a Olsztynem jest pustka intelektualna i kulturalna. Ze nie ma po drodze — ani w Gdańsku, ani w Toruniu, ani w Poznaniu — nikogo, kto by mógł napisać zgrabne wprowadzenie Fredry na otwarcie teatru w Koszalinie w 1954 r.

Notuję tę sprawę nie po to, aby wpakować przysłowiową łyżkę dziegciu do beczki z miodem i przesłonić tym miłe wrażenie, jakie pozostawia sam spektakl. Podaję ją do wiadomości CZT.

Premiera *Ślubów* odbyła się w Koszalinie 16 stycznia. Od tego czasu teatr występował już w Słupsku, Ustce, Sławnie, Polczynie, Szczecinku, Złotowie, Człuchowie i Chojnicach. Przed sobą ma jeszcze jakie 20 miast i około 40 PGR. Zasięg pracy olbrzymi. Kiedy tam byłem — w połowie lutego — nie miał jeszcze własnego samochodu ani do przewożenia ludzi, ani do dekoracji i rekwizytów. Miał przez to zorganizowane próby, bo nie mógł dążyć z powrotem do bazy. Wszystko wisiąło jeszcze w powietrzu.

Ale za to w ciągu krótkiej rozmowy z dyrektorem teatru było kilka rozmów telefonicznych miejscowych i zamiejscowych z zapytaniami — czy teatr gra, gdzie gra, kiedy wróci i czy można zamówić bilety dla szkoły, PGR, spółdzielni, fabryki itp.

Miejska Rada Narodowa przydzieliła teatrowi dom mieszkalny, w którym nie ma ani jednej łazienki, a czynne są jedynie dwa ustronne miejsca. O węgłu zapomniano. Nie zadbano o uporzędowanie tego domu, o jakieś urządzenie go (ludzie śpią na siennikach), o kogoś, kto by sprzątnął i napalił w piecach, kiedy zespół wraca przemarnięty z objazdu.

Ale za to w ciągu 5 dni w jednym tylko Koszalinie, mieście wcale nie największym w województwie, obejrzało *Śluby* 2300

widzów. Do dziś — ponieważ, jak mnie informują, jeden samochód teatr już otrzymał — po raz pierwszy w historii Polski Ludowej urzały prawdziwy teatr i prawdziwego Fredrę w swych murach takie miasta, jak Tychów, Bytów, Drawsko, Miastko czy Swidwin. A do końca roku teatr koszaliński da tych przedstawień najmniej 320.

Władze nie rozumieją jeszcze doniosłości tego faktu. Teatr musi sobie powoli wyłabić miejsce w życiu miasta i województwa. Sądząc po niektórych znakach na ziemi i niebie — o wiele łatwiej mu to przyjdzie z ludźmi, z publicznością, niż z urzędnikami.

Ale chyba i urzędników pokona. Bo i między nimi nie brak takich, którzy się przekonali do teatru, którzy dziś go uważają za swój, własny, własnymi bez mała rękami wywalczony. Najbardziej chyba może liczyć teatr na współpracę i fachową opiekę ze strony przewodniczącego tamtejszego ORZZ tow. Nieporęga, starego pracownika warszawskiego teatru Ateneum, jeszcze z czasów Jaracza.

Naturalnych sojuszników ma teatr w miłych i również jak zespół teatralny młodych kolegach z redakcji „*Głosu Koszalińskiego*“, którzy torują teatrowi drogę piórem i sercem. Czekają ich niejedna jeszcze potyczka. Ale w sumie — jest o co walczyć. Macie w Koszalinie młody, pełen entuzjazmu i perspektyw zespół pod dobrym, czułym i czujnym kierownictwem. Macie żłaknioną, ciepłą publiczność. Macie ogromny teren, gdzie dotychczas pionierską pracę pełnił tylko zespół teatru szczecińskiego.

Poza tym — perspektywy są najpiękniejsze. Jak mnie poinformował nie entuzjasta, lecz realista — przewodniczący Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego — za kilka tygodni rozpocznie się budowa gmachu teatralnego. W przyszłym roku na dziesięciolecie wyzwolenia tych ziem, gmach zostanie przekazany pracownikom tej najmłodszej placówki kulturalnej w Polsce Ludowej, zespołowi, który pięknie zaczął od Fredry, ojca komedii polskiej.